PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * NIEDZIELA — CENA 50 GR. — 29 LISTOPADA 1936 R. * NUMER 48 (165)

KOMENTARZE

Znakomity profesor paryskiej szkoły nauk politycznych p. Dupuis tak zaczął przed ośmioma laty jeden ze swoich wykładów: „P. Ramsay MacDonald, *Messieurs*, należy do pacyfistów najbardziej niebezpiecznych dla sprawy utrzymania pokoju“... Dziś sędziwy p. MacDonald jest członkiem rządu, który postawił sobie za cel dozbrojenie Anglii. Cel tym razem istotnie pacyfistyczny. Nikt bowiem chyba trzeźwo myślący nie wątpi, że Anglia gotowa do wojny — to jedna z najlepszych gwarancyj pokoju. Szkoda — mówią w Paryżu — że Anglicy dawno już nie doszli do tego przekonania. Sytuacja w Europie byłaby dziś o wiele mniej skomplikowana.

*

W tej skomplikowanej i niejasnej sytuacji powszechne napięcie energii zdaje się osiągać swój punkt szczytowy. Świat drży od nerwowego, wytężonego wysiłku, którego przyszłych wyników nikt przewidzieć nie potrafi. Los, jak zwykle, jest w rękach Opatrzności. A w zamiarach Bożych leży, według słów Pascala, raczej doskonalenie woli niż umysłu. Otóż jasność absolutna wspomaga umysł, lecz osłabia wolę.

*

Właściwie sytuacja tym więcej się komplikuje, im bardziej upraszcza się i krystalizuje nowy układ sił politycznych na świecie. To jednak, co się dzieje dziś, nie idzie z pewnością po myśli polityki angielskiej, której niektóre wytyczne — jak to potwierdziły wyniki wizyty naszego ministra spraw zagranicznych w Londynie — zbliżają się do zasad wyznawanych przez Polskę. Dwa wzajemnie się wyłączające systemy czy też dwie „religie“ społeczne stoją naprzeciw siebie coraz bardziej groźne i coraz bardziej agresywne.

Traktat niemiecko-japoński lub — jeśli ktoś woli — przystąpienie Japonii do bloku antykomunistycznego, otwarte uznanie rządu gen. Franco przez Niemcy i Włochy, aresztowanie kilkunastu obywateli sowieckich w Sowietach — oto szereg wydarzeń, które dowodzą niezbicie, że okres „walk religijnych“ pomiędzy wyznawcami jednej i drugiej wiary politycznej trwa i pogłębia się z dnia na dzień.

Ile w tej serii faktów zdziałała wiara czy nienawiść „religijna“, a ile po prostu siła rzeczy, która sprawia, że poprzez takie czy inne tendencje, nurtujące w danej chwili na świecie, wypowiada się niezmienna, wypływająca z oddali dziejów i z warunków geograficznych racja stanu — na to pytanie, zaiste, nie łatwo dać odpowiedź.

Raczej wydawałoby się, że — jeśli brać rzeczy „na długiej fali“ — o kierunku polityki państw, zwłaszcza wielkich, gdzie wymowa historii i geografii jest silniejsza, decyduje ostatecznie, wbrew ludziom i wbrew ideom, niezależna od nich, samoistna racja stanu, która nadaje dziejom piętno pewnego fatalizmu. Nie idzie w gruncie rzeczy o to, czy np. polityką Japonii kieruje w tej chwili poczucie wspólnoty „faszystowskiej“ lub niechęć do komunizmu. Ważniejsze jest to, czy byłoby inaczej, gdyby na Kremlu zasiadał biały, a nie czerwony car.

*

Słowa takie jak „terytorium“ i „surowce“ nie straciły dotychczas wartości. Rozważając czteroletni plan gospodarczy Rzeszy i ostatnie uchwały wielkiej rady faszystowskiej, wzywające Włochy do dalszego wysiłku na rzecz samowystarczalności, ktoś rzucił pytanie: czy chemia *ersatzów*, która od pewnego czasu usiłuje zmienić geografię państw, zdecyduje również o zmianie kierunku ich ewolucji dziejowej? Zdaje się, że na to jeszcze się nie zanosi. Tym bardziej, że przewidywania gospodarcze, podobnie jak i polityczne, zbyt często zawodzą.

*

Świadczy o tym chociażby ten „drobny“ przykład, jaki stawia nam przed oczyma obecny ruch kapitałów.

Kiedy kraje bloku złotego zdewaluowały, mówiono powszechnie: teraz kapitały przypłyną z powrotem z Ameryki do Europy. A tymczasem kapitały, jak dawniej tak i dziś, płyną do Nowego Yorku. I to przede wszystkim z Londynu.

Z tego stanu rzeczy nikt nie jest zadowolony: Anglicy, bo właśnie intensywnie się zbroją, na co potrzeba im taniego kredytu i obfitych kapitałów (zresztą w tanim kredycie tkwi cała tajemnica dzisiejszej ich *prosperity*); Amerykanie, bo ucieczka kapitałów z Londynu mogłaby pociągnąć za sobą ponowny spadek funta,—za funtem podążyłby dolar, trudniej byłoby o pożyczki na dogodnych warunkach, którym zawdzięcza przecież powodzenie finansowy „rooseveltyzm“. To też Amerykanie starają się jak mogą „odstraszyć“ europejskie kapitały.

*

Zachowanie wiary w nieomylność systemu rooseveltowskiego byłoby rzeczą niezmiernie przykrą w chwili, gdy uśmiechnięty prezydent Stanów zbiera owoce swego niedawnego tryumfu. A przecie zwycięstwo to było nie byle jakie. Nie tylko dlatego, że Roosevelt uzyskał niebywałą wprost ilość głosów. Ale przede wszystkim dla tej przyczyny, że ukręcił głowę „hydrze kapitalizmu“, że zwyciężył wszechmocne trusty, że u stóp jego legł potężny koncern prasowy Hearsta — wreszcie i dlatego, że jego wiara i „dynamizm“ polityczny okazały się silniejsze niż, zdawałoby się, niezłomne formułki konstytucji. W sumie — z zachowaniem należytych proporcyj — zwycięstwo treści nad formą, ducha — nad materią.

*

Tragiczna śmierć ministra Salengro zaognił a i tak już rozpaloną do białości atmosferę polityczną we Francji. Przed rządem p. Bluma piętrzą się coraz nowe trudności. Wyjście z impasu, którym jest udział komunistów w większości rządowej, nie będzie chyba możliwe bez bardzo poważnych wstrząsów ustrojowych. Dziś bowiem jedynymi na świecie państwami, w których partia komunistyczna bierze udział w rządach są — oczywiście poza Rosją Sowiecką — Francja i... Hiszpania. Zastrzegając się przeciw zbyt daleko idącym wnioskom z podobieństwa sytuacji — trudno nie stwierdzić, że jest ono mocno niepokojące.

*

Minister spraw zagranicznych Rumunii przybywa do Warszawy. Jest to jedna z tych wizyt, które są czymś więcej niż aktem kurtuazji. Przyjazd p. Antonescu do Polski jest widomym znakiem trwałości polsko-rumuńskiego przymierza, które dzięki przenikliwo-

POKOLENIE

Płakali, że Jej nie ma, że rozdarta, rozbita,
że w snach nieznających, dziecinnych
szara.
Że z bibliotek, starych ksiąg pożółkła.
Na polskich bibliach uczyli się Jej czytać,
bo tylko w rymach splecione czerwono-białe włókna...
wina — czy kara?

A potem wrośli razem w młodość — jakże trudną!

*

KRAKÓW RANO

Nad dniem się ułożył pełny obrzask — ciągłość.

O tem,
jak bzy w bulwach nierozkwitłą, kędzierzawą nagość
sączyły z latarń opryskanych cieniem.
Gotował się gołębim bulgotem
plac pod naiwnym dniem, dywan rozpostarty na płask.

Jak w bzowy dzwon zawiesić serce nabrzmiałe białym świtem?
długie tęsknoty omotać wzwyż drzew, przybitych jaskrawym księżycem?

Ustami pieścić nieba blednące gołębie,
wiszące ponad świtem mrugające kiście.

Jak zmieścić śpiące miasto w rozhuśtanej koi,
w szybce katedry; gołąb wrysowany w ołów
wytrysnął rosą rozbudzonej fali
w baniek, białych bulgotów uwieńczonych masztem
milczący połów.

Kwiat zaszczutych wzruszeń — bez przycięty w szpaler
wzdłuż Plant, pod konstelacją rozgruchanych pereł,
wzdłuż cygar, wzdłuż masztów dymiących białym sztandarem
— masz ten
— brzask, co upadł głodnym ptakiem na bruk — jak na dywan.

HELENA WIELOWIEYSKA

ści Wielkiego Marszałka i najwybitniejszych mężów stanu Rumunii stało się jedną z głównych gwarancyj pokoju w Europie wschodniej i w Europie *tout court.* Przejściowe ochłodzenie, jakie nastąpiło w stosunkach polsko-rumuńskich w okresie urzędowania ministra Titulescu, raczej potwierdziło niż osłabiło wartość sojuszu, który wypływa z najbardziej podstawowych konieczności i dążeń politycznych obu narodów. Stolica Polski wita p. Antonescu z otwartymi ramionami nie tylko jako przedstawiciela sprzymierzonej Rumunii, ale i jako szczerego i wypróbowanego przyjaciela Polski. A kiedy — obok głębokiej wspólnoty poglądów — istnieje jeszcze przymierze serc, to wtedy sojusz jest nie tylko „piórem pisany, lecz w diamencie twardym wykowany".

JUNIUS

DESZCZ NA STAWIE

Krążkami wody osiada
na majolice toni
dżdżu eteryczna kaskada
i dzwoni.

Staniesz tak okroplony
nad brzegiem — nie wiesz po co,
nie wiesz, czy staw zielony,
czy serce w tobie rechoce.

Lecz już po chwili pewien,
że nic się w wodzie nie zmienia,
w parnej i mlecznej ulewie
marzeniem w staw się wzieleniasz.

Aż nagle ponad tobą
pędzi ni stąd ni zowąd
błoniasty trzmieli obłok
i huczy ludzką mową.

Wynurzasz się z otchłani
i w palców wodorosty
zagarniasz tysiącami
zdarzenia proste.

I cóż? Otworzysz dłonie,
myślisz: trzmiel albo szerszeń.
Ach! Nie! To co tak dzwoni,
jest wierszem...

Więc zrozpaczony osiadasz
krążkami wody wśród toni
i słuchasz dalej kaskady,
by słów dla zdarzeń nie trwonić.

A rano — gdy ścichnie zieleń,
gdy w stawie się ustoisz,
czekasz, aż przyjdzie jeleń
i tobą się upoi.

MARIAN NIŻYŃSKI

T R E N

Złe oczy ma suka,
Obłędne i chore.
Ślepych szczeniąt szuka
Przy rzece — wieczorem.

Wszystkie leżą na dnie,
Gdzie księżyc jak szczenię.
Łka suka bezradnie —
Tworzy tren po trenie.

STEFAN GOŁĘBIOWSKI

KAROL KRZEWSKI:

SPÓR O WALKĘ „MŁODYCH" ZE „STARYMI"

C Z Y L I

M A Ł Y P R Z E W O D N I K P O P O Z Y T Y W I Z M I E W A R S Z A W S K I M*

7. RYK LWA

Atak lekkicj kawalerii — taki tytuł w *Prawdzie* położył Świętochowski na swym artykule, w którym stwierdził, że *Zarys* Chmielowskiego stał się nie tylko hasłem do ataku na uczonego autora, ale i na całą „partię" postępową. W tym ataku wzięły udział różne siły umysłowe: „zarówno poważni zapaśnicy konserwatywnej chorągwi, jak i weseli chłopcy, którzy biegną przed każdą armią, a podrzucając w górę nogami i łapiąc swoje własne chodaki, sądzą, że składają dowody wielkiego męstwa".

Wesoła to wojna z takimi wesołymi chłopcami!

Świętochowski przypomniał czytelnikom, że gdy ongiś zawrzała walka *młodych* ze *starymi*, najgłówniejszą bronią ostatnich był zarzut, iż pierwsi sponiewierali zasługi, „nie zdołali się utrzymać w granicach sprawiedliwości, że nade wszystko uprawiali szykanę osobistą a niekiedy posuwali się do paszkwilu".

W zarzutach tych widział Świętochowski wiele przesady, ale w r. 1881, rozpatrując rzecz nie na gorąco, lecz już na chłodno, przyznaje, że *młodzi* walczyli zbyt okrutnie i lekce sobie ważąc pewnych *starych*. Jest to wyznanie szczere i obejmujące samego też Świętochowskiego, który do walki miał serce Wołodyjowskiego, ale gdy o ludzi w walce chodzi, serce zawsze kamienne. *Młodzi* byli krwiożerczy. Ci ludożercy żłopali krew „kilku redaktorów i kilkunastu literatów warszawskich", którzy nie stanowili ani większości grona *starych*, ani ich najpoważniejszego odłamu. Szanowali Bartoszewicza, Tyszyńskiego, Jenikego, Kraszewskiego, Supińskiego, „Lenartowicza również". Jakoś niewiele nazwisk nasunęło się Świętochowskiemu pod pióro. Najbardziej *młodzi* „ostrzeliwali" Szymanowskiego, Lewestama, Korotyńskiego i Wieczór-Szczerbowicza (tego mieli za co!).

Aż oto wybuchła nowa polemika, która zamieniła się „na łobuzerię literacką", na swawolę „baszybuzuków gazeciarskich", która dotknęła i Chmielowskiego.

„Poważnemu badaczowi odmówiono wiedzy, doktorowi filozofii — znajomości elementarnej logiki, a Polakowi — przywiązania do kraju. Z zuchwałą bezczelnością zadenuncjowano go podwójnie: przed władzą i przed społeczeństwem. Bo i cóż to byłby za profesor literatury polskiej wobec pierwszej, jeśli nie zna logiki i literatury, a wobec drugiej — jeśli *dlatego* zganił powieść Sienkiewicza, że jej treść z *naszych* dziejów zaczerpnięta? Zaiste, ani do takich potwarzy, ani do takiego nieobywatelstwa nie posunęła się nigdy „młoda prasa" nawet względem tych, których najbardziej prześladowała".

Przeciw „żywiołom postępowym" nie zgromadzono żadnych dowodów. Cóż z tego, że się im zarzuca brak zdolności? „Radzi byśmy wiedzieć — woła Świętochowski — jakie to siły dostarczają dziś społeczeństwu najżywotniejszego pokarmu". Przecież „główne gwiazdy nieba konserwatywnego: Prus, Sienkiewicz, Ochorowicz zaświeciły na nim od strony *młodej* prasy". To *starzy* profesorowie obrali jako najgodniejszego na katedrę historii literatury właśnie Chmielowskiego. I zupełnie niespodziewanie, porzucając ton polemiczny, przedstawia Świętochowski wyniki walki dwu obozów po roku 64, bo „główną osią walki nie było odebranie propinacji w Olimpie kilku starym, ale wprowadzenie do życia ogólnego, do nauki i sztuki nowych zasad".

„Po smutnym doświadczeniu ostatniego zbrojnego porywu, pierwsza — przynajmniej w Królestwie Polskim — „młoda prasa" zatknęła narodowi inny drogowskaz, — drogowskaz pracy wewnętrznej, cywilizacyjnej, ekonomicznej i umysłowej, jedynie zdolnej nas odrodzić i wskrzesić. Idea ta stała się już komunałem, ale wtedy była nie tylko nową, ale nawet zuchwałą. Zuchwałą i nową była również inna idea łączności i solidarności z ludami wchodzącymi w skład słowiańszczyzny, tętniąca obecnie nawet w tych pismach, które ją dawniej odtrącały z oburzeniem. Niemniej znacząco oddziałali „młodzi" na polu społecznym. Nieukojone pretensje szlachty po uwłaszczeniu włościan odbijały się jedynie w „starej prasie" echem żałosnej skargi; dopiero „młoda", nie tając pewnych wad w przeprowadzeniu reformy, uznała jej użyteczność i powołała ogół do pogodzenia się z tym aktem spóźnionej i nie bezwzględnie pożądanej sprawiedliwości, zwracając jego uwagę na polepszenie doli ludu.

Owocem tego było wzmocnienie się prądu demokratycznego, który tak dalece przeniknął do literatury, że większa część jej płodów artystycznych poczerpnęła treść swą z życia ludowego. Być może, iż „młodzi" nie dokonali wielkich w nauce odkryć; to jednak pewna, że wzbogacili ją szeregiem cennych prac, że spotęgowali do niezwykłych rozmiarów ruch wydawniczy, że wreszcie z nieznaną przedtem stanowczością starali się wyzwolić wiedzę spod władzy wiary, nadać jej bezwzględną samodzielność, oprzeć na podstawach pozytywnych, że stali się pośrednikami i krzewicielami najnowszej filozofii. Dzięki temu apostolstwu pewne idee filozoficzne pojawiły się po raz pierwszy w naszej literaturze. Nigdy również nie odezwała się głośniej jak w organach postępowych potrzeba bezstronnej krytyki naszych dziejów, rozwiania szkodliwych złudzeń i pozbycia się niedorzecznego samochwalstwa, które nas ukoronowało prawdziwie izraelską manią ludu wybranego. Z początku nazywano to „nieposzanowaniem tradycji" i „kalaniem własnego gniazda", powoli jednak zasada nie tylko zwyciężyła w teorii, ale nawet wcieliła się szczęśliwie w znakomite dzieła młodych historyków. Nakoniec zalecanie realizmu w sztuce, rozpowicie jej z idealnych mgieł i przybliżenie do życia stanowi także zasługę „młodych na polu twórczości". Przecisnąwszy się swym głosem do spraw politycznych i społecznych, do nauki, powieści, teatru — wszędzie oddziałali oni w ruchu rzeczywistego odrodzenia. Nie myślimy przeczyć, że pobudki do tego wystąpienia kryły się w poprzedniej dobie naszego życia historycznego, że z zapałem krzewione przez „młodych" idee zapożyczono od zagranicy, w owej jednak porze były nowymi i dzielnymi czynnikami postępu.

Surowa nieudolność, która będąc sama bezpłodną, wymaga od zdolności głów jowiszowych, wylęgających Minerwy, próżniacza jałowość, domagająca się od wiedzy samorodztwa, nie uzna i nie oceni tego pasma zasług, ale znajdą się one w rozwoju narodu, a policzy je i uszanuje każdy, kto rozwój ten gruntownie bada".

Jeżeli więc — oto zdanie Świętochowskiego — „społeczeństwo nasze dziś (1881) się porusza i postępuje — porusza się i postępuje według rytmu „młodych", w kierunku ich zasad i ku ich celom".

Ściśle zorganizowanej „partii" postępowej Świętochowski nie widział. Istniał jednak według niego w społeczeństwie „żywioł demokratyczno-liberalny", który w Polsce wyrósł z szeregów *młodych.*

Tyle Świętochowski. Nikt przed nim ani nikt — Chmielowskiego nie wyłączając — po nim nie opowiedział nam dotąd lepiej o tym, co było osią walki *młodych* ze *starymi* i jej skutkami. Przyznaje on, że *młodzi* stali się krzewicielami najnowszej filozofii, którą był podówczas *pozytywizm*, że pobudką do wystąpienia *młodych* były idee zapożyczone z zagranicy i takie, które ujawniały się przed powstaniem (a które zdaniem moim też związane były z Zachodem). Artykuł Świętochowskiego p. t. *Atak lekkiej kawalerii* nie jest tylko relacją współczesnego. Jest według mej oceny źródłem do historii pozytywizmu warszawskiego, jest źródłem ważnym i takim, które może stanowić podstawę wyjściową do gruntownych badań całej epoki popowstaniowej. Przed każdym pracownikiem naukowym treść tego artykułu otwiera horyzont rozległy i obiecujący.

Niech mi wolno będzie zwrócić uwagę na jedno w tym pysznym *Ataku lekkiej kawalerii.* Pisząc, że *młoda* prasa zatknęła po roku 64 inny narodowi drogowskaz, dodaje Świętochowski *„przynajmniej w Królestwie Polskim"*, co nas kieruje od razu na solidny tor historyczny. Jak wiemy, wskazuje się nam na b. Galicję, na Lwów i Kraków, na Lwów głównie, jako ognisko pewnych myśli przewodnich „pozytywnych" i „trzeźwych". Informuje też Świętochowski o ideologii liberalno-demokratycznej, czyli mieszczańskiej, którą *młodzi* w Warszawie szerzyli wyraźnie. Chciałbym od razu wskazać na kogoś, kto nie w Warszawie ani we Lwowie lub Krakowie, na kilkanaście lat przed powstaniem pisał **tak:**

„*Oświata i moralność* milionów była u samego wierzchu zebrana w kilkuset lub kilku tysiącach osób... *Wielkie dzieła cywilizacji,* za olbrzymie na jedną osobę (panującego) by też najpotężniejszą i najbogatszą, wykonywują się *połączonymi siłami narodu.. Przemysł i oświata bogaci i uszlachetnia* mieszkańca i *prawdziwa, nie poetyczna* zasługa przemaga i przed potęgą *stanu średniego,* przed szlachetnością człowieka, *nie urodzenia,* znikają *mamidła średniowiekowe,* piękne i strojne ale *dziś czcze i próżne...* Godność człowieka się podnosi a z nią godność całego narodu, który się *uczuł narodem...* Odtąd rzeczywistymi *podstawami* państwa są *masy ludu*".

Któż by się spodziewał, że to właśnie Karol Libelt (a on jest autorem słów powyższych) miał już w 1849 r. język tak... pozytywistyczny (oświata i moralność, przemysł i oświata, niepoetyczna zasługa, mamidła średniowiekowe!).

Należy jednak pamiętać, że w humanistyce tak się wszystko ze wszystkim zazębia i łączy, że trudno by mi było wskazać tak samo historyka jak i historyka filozofii lub literatury, który by miał pewność, że w dziejach, które uprawiają, coś się nowego dzieje lub naprawdę stało! Ogłoszenie więc, że Kazimierz Wielki był pierwszym „organicznikiem", gdyż zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną, byłoby jednak przesadą i to połączoną z krzywdą pozytywistów warszawskich.

8. SERCA PANIENEK NIE BIŁY DO POZYTYWIZMU...

Dr. K. Waliszewski jest autorem *Kilku słów w o b r o n i e dzieła p. Piotra Chmielowskiego p. t. Zarys Literatury z ostatnich lat 16-u* umieszczonych w *Wieku.*

Autor broni Chmielowskiego na niby. W istocie zaś rzeczy uważa, że *Zarys* jest napisaną na kolanie „małą bibliograficzną kompilacyjką", której treść wyszła spod pióra „jakoś trochę za słona i trochę za kwaśna", a że „licho nadało warszawskich krytyków (co prawda to prawda!), więc od razu ułożono nieszczęśliwy *Zarys* na madejowym łożu poważnych wymagań, a potem rozciągnięto Chmielowskiego i..."

A skoro ten nieborak Chmielowski już leży, więc i Waliszewski zrobił to, co i wielu innych: łupu cupu! łupu cupu! bo leżącego się... bije.

O walce *młodych* ze *starymi* czytamy w *Wieku:*

„Forma to jednej starej jak świat i jak świat powszechnej walki o byt i walki o ideały. Odkąd istnieją ludzie i wszędzie gdzie istnieją, *młodzi* przybywają do *starych* i dopominają się o miejsce ale zawsze i wszędzie przybywają *z czymś.* Miejsca żądają nie tylko dla siebie, ale także dla duchowego pakunku, z którym przybywają, dla tych nowych ideałów właśnie, które przynoszą i przed którymi pragną aby stare ustąpiły".

Podobnie jak Goraj, jak i krytyk *Biblioteki Warszawskiej* (nie wszystko z nich przytaczałem), tak i Waliszewski wyzyskał to wyznanie Chmielowskiego, że *młodzi* zrazu nie posiadali wyraźnej ideologii (o czym pisałem na innym miejscu).

„Jego (Chmielowskiego) „młodzi" — to niefortunni kandydaci do pomieszczania artykułów w dziennikach redagowanych przez „starych"; to później po do wiadczonym niepowodzeniu kandydatury nieprzejednani „starych" wrogowie. Ale i z początku i później stają oni przed „starymi" z gołymi rękoma. Nawet na hasło jakiekolwiek zdobyć się przez czas dłuższy nie mogą; w dalszym dopiero ciągu walki na zszytym z francuskich i angielskich strzępków sztandarze wypisują hałaśliwe *nom de guerre,* ale większość przyswaja sobie tylko brzmienie tego hasła, sensu jego nie rozumiejąc zgoła".

Waliszewski pominął zupełnie to wszystko, co Chmielowski wreszcie podał jako program *młodych,* a co szerzyli przez *Przegląd Tygodniowy* i *Niwę,* ale treść pierwszych rozdziałów oddał dość wiernie, gdy o początki działalności *młodych* według autora *Zarysu* chodzi. Poleca więc, jako także „młody", Chmielowskiemu: *Parlez pour vous, Monsieur!,* bo byli i inni *młodzi.* prócz autora *Zarysu* i jego przyjaciół. Bardzo to ciekawe i zastanawiające!

„*Młodzi,* którzy zgłaszali się do starych z czymś innym, niż z niezrozumiałym dla siebie hasłem i z pretensją do honorarium za wydymające to hasło czczymi frazesami artykuły! *Młodzi,* których także zrazu mogło spotkać niezupełnie gościnne przyjęcie, ale którzy przecież drzwi sobie z czasem otworzyć potrafili. Wszakże panu Chmielowskiemu samemu je otworzono i jakże szerokie! O, zapewne byłby p. Chmielowski w kłopocie o pokazanie mi bodaj jednego ze swych współtowarzyszy, który by z rzeczywistym talentem stał dotąd za drzwiami".

Prawda! Taki np. Bolesław Prus mógł sobie znaleźć (i znalazł) miejsce w *Kurierze Warszawskim.* Orzeszkowa umieszczała pierwsze swe powieści w pismach „starych". Ale po cóż by mieli *młodzi* z „rzeczywistymi talentami" wogóle zaglądać do „starych" redakcyj, skoro stworzyli swoją prasę?

A teraz dla odmiany „plotka":

„P. Chmielowski, który pamięta koleje, przez które przechodziła *Niwa,* pamiętać musi także, że w pierwotnym swoim kierunku i przy pierwszej swojej redakcji (przed wystąpieniem p. K. Zalewskiego) cieszyła się ta publikacja wcale obiecującym powodzeniem. Powodzenie to było tak dalece obiecujące, że nowe odwołanie się do wspomnień osobistych mogłoby uprzytomnić panu Chmielowskiemu czysto spekulacyjną operację, za której sprawą akcje cieszącego się powodzeniem wydawnictwa, posiadane przez biedniejszych studentów Uniwersytetu, skoncentrowane zostały w kilku rękach i której następstwem było owo rozdwojenie w łonie redakcji, wspomniane przez samego p. Chmielowskiego, wystąpienie pana K. Zalewskiego i nawrót na inne tory. Że na tych innych torach powodzenie opuściło *Niwę,* trudno za to czynić odpowiedzialną — niechęć publiczności dla „młodych".

Wszakże pierwsza redakcja także była „młoda", ale nie wywieszała zapożyczonego z obczyzny sztandaru z hieroglifowymi godłami".

Zdaniem Waliszewskiego Chmielowski uległ pokusie pamiętnikarza. Doświadczenia i wrażenia osobiste uogólnił. Z tego właśnie powodu *młodzi* występują u niego „z etykietą pozytywizmu przywieszoną im do ple-

* Por. *Pion,* nr. 46 (163) i nr. 47 (164).

ców". Jest to nie tylko błąd, ale i krzywda dla połowy *młodych*.

„Pan Chmielowski wie tak dobrze jak ja, że ani właściwy pozytywizm Comte'a lub Littrégo, ani zwłaszcza ten fantastyczny pozytywizm, którego formułę starał się on sam daremnie ująć na str. 66 do 68, nie był nigdy religią całego zastępu jego rówienników literackich".

Jest to zbyteczna uwaga, ale przytoczyłem ją, bo się może przyda niejednemu bajczarzowi o pozytywizmie. Trzeba nawet zbyteczne ale słuszne uwagi o pozytywizmie powtarzać, bo to uczynek miłosierny ślepym kurom ziarno rzucać. Co zaś do *Niwy*—przypominam: powstała ona w r. 1872, jako spółka akcyjna utworzona przez absolwentów wydziału prawnego Uniwersytetu Warszawskiego (podobnie jak studenci wydziału matematyczno-fizycznego stworzyli tygodnik *Przyroda i Przemysł*). W połowie 1874 *Niwa* przeszła pod redakcję Juliana Ochorowicza. W r. 1876 objął redakcję Mścisław Godlewski (też wychowanek Szkoły Głównej), a od r. 1879 jest *Niwa* coraz bardziej pismem konserwatywno-klerykalnym, w którym decydujące wpływy posiadają konserwatyści krakowscy.

Waliszewski zarzuca Chmielowskiemu „pan-pozytywistyczną generalizację" i próbuje go dobić następującym ustępem:

„Wyrzuca (Chmielowski) warszawskiej publiczności, że nie przyjęła jej (pan-pozytywistycznej generalizacji) od miejscowych „apostołów", ale „dobrą nowinę" przyjęła od „misjonarzy" przybywających z daleka. Wstydź się za siebie, syreni grodzie! Nie chciałeś słuchać głosu ani pana Wiślickiego, ani pana Méyeta, ani samego pana Chmielowskiego, pozwoliłeś upaść *Niwie* redagowanej przez pana Szenmana, a powitałeś oklaskami Tarnowskiego!

To już zakrawa na żarty! Tarnowski pozytywistą! Pozytywistą na sposób Leopolda Méyeta i Adama Wiślickiego, na krój i miarę redaktorów *Niwy* z epoki redakcji pana Szenmana. Ależ p. Chmielowski nie może przypuszczać podobnych bredni. Każda z panienek, jego uczennic, która kupowała cukierki z fotografią krakowskiego profesora na pudełku, a przyjaciółce od serca zwierzała się, że miała ochotę pocałować schodzącego z katedry, każda z tych panienek byłaby w stanie wyprowadzić pana Chmielowskiego z błędu, gdyby błąd był tu przypuszczalny.

Każda byłaby w stanie zaświadczyć, że jeżeli kiedy uderzone dźwięcznym głosem uwielbianego mówcy serduszko jej zabiło szybciej, jeżeli kiedy zaćmiły się łzami niebieskie oczęta, jeżeli rozmarzyła się główka, to przebóg, nie dla „dobrej nowiny" pozytywizmu. I każda z nich domyśla się przynajmniej, jeżeli sobie nie zdaje z tego jasno sprawy, że nawet poważniejsi od niej słuchacze innym hołdowali względom, niż prostemu kaprysowi, kiedy uciekali od pozytywisty Wiślickiego, a entuzjazmowali się pozytywistą — Tarnowskim".

I czy to nie warto łyknąć sobie trochę kurzu pokrywającego roczniki naszych czasopism?

Zawszeć czegoś się człek dowie, ot! choćby o wpływie St. Tarnowskiego na pensjonarki warszawskie...

„Chmielowski wie doskonale — ciągnie Waliszewski — że ten rzekomy pozytywizm krakowski cokolwiek się różni od tego, którego niejasną formułę dyktują mu osobiste wspomnienia: że nie był on nigdy *un nom de guerre* zapożyczonym z Francji i Anglii w braku innego i nie odpowiadającym żadnej praktycznej myśli, że ci rzekomi pozytywiści zakordonowi przybywali z celami jasno wytkniętymi przed sobą i długą drogą zostawioną za sobą — i dlatego garnięto się do nich! A i dlaczego innego jeszcze! Dlatego, że w ich słowie, w ich „ewangelii" znajdowano to bogactwo treści, tę wykwintność formy, tę podniosłość i to ciepło uczucia, których nie znajdowano gdzie indziej".

Dosyć! Dosyć! Dobijcie mnie, dobrzy ludzie, bo się męczę! Przede wszystkim: Julian Szenman był tylko redaktorem nominalnym *Niwy*. Ta znowu „niejasna formuła pozytywizmu", o której wspominał Waliszewski, została przez Chmielowskiego oparta głównie na artykule *Pozytywizm i pozytywiści*, drukowanym w *Niwie*, dzięki czemu można dociec, co też grupa umiarkowana pozytywistów warszawskich uważała za pozytywizm, który niesłusznie Waliszewski uważa za „fantastyczny". A poza tym Waliszewski wmawia w Chmielowskiego, jak w Żyda chorobę, że wziął on Tarnowskiego za pozytywistę, czego przecież kto jak kto, ale Chmielowski nie mógłby zrobić (o czym Waliszewski wiedział). Ale rzecz to ciekawa, że Chmielowski zwracając się ku Galicji napisał, że tam:

„...te najbardziej potępiane w Warszawie poglądy na przeszłość i ideały społeczne wyszły nie z grona ludzi postępowych, ale z łona zachowawców i to w sposób nieporównanie wyraźniejszy, a nawet jaskrawszy, aniżeli u pozytywistów warszawskich. Zwolenników tych przekonań i ich twórców przyjęła Warszawa hucznymi oklaskami, gdy tu z odczytami zjechali".

Ma tu na myśli Chmielowski przede wszystkim St. Tarnowskiego, który do Warszawy zjechał z odczytami *O komediach Aleksandra hr. Fredry* i wygłosił je w sali ratuszowej w r. 1876. Ale odkąd to „stańczycy" czyli zachowawcy krakowscy mieli jednakowe ideały *społeczne* z pozytywistami warszawskimi? Otóż tutaj kłania się nam cenzura rosyjska, która tak pięknie pomagała *młodym*, że nieraz drukowali: „społeczne" (ideały) lub „obywatelskie" zamiast „narodowe". Ale wspólnych we wszystkim ideałów „narodowych" pozytywiści warszawscy z konserwatystami krakowskimi nie mieli. Tych ostatnich bardzo wiele łączyło przede wszystkim ze Spasowiczem i Erazmem Piltzem. Ale to już jest inna historia i zgoła nie kiplingowska.

DCN



GRANICA ZACHODNIA ŻYWIOŁU KARPATORUSKIEGO
WEDŁUG AUTORÓW CZESKICH



GRANICA ZACHODNIA ŻYWIOŁU KARPATORUSKIEGO
WEDŁUG AUTORÓW UKRAIŃSKICH

JAN REYCHMAN:

GRANICA ETNOGRAFICZNA SŁOWACKO-UKRAIŃSKA

Mozaika narodowościowa oraz rozpiętość statystyk, wypływających z niskiego i płynnego poczucia narodowego i z trudności stosowania kryteriów rozgraniczania, właściwe są obszarom bałkańskim, szczególnie Macedonii. Ale i poza Bałkanami, nawet w najbliższym sąsiedztwie Europy Środkowej, znajdują się obszary równie pomieszanych i niejasnych stosunków narodowościowych. Należy do nich i wschodnia Słowacja, tam, gdzie żywioł słowacki styka się z ukraińskim.

Zagadnienie wschodniej granicy żywiołu słowackiego i jego rozgraniczenia z Karpatorusinami [1] kilkakrotnie wywoływało już żywą dyskusję w prasie naukowej słowackiej i ukraińskiej. Obecnie, wobec wzmożenia działalności ukraińskiej na mieszanym terytorium i wobec podnoszonej kwestii przyznania autonomii Rusi Podkarpackiej, sprawa ustalenia granicy słowacko-karpatoruskiej staje się znów aktualna, wracając na łamy prasy i publicystyki, gdzie wywołuje namiętne dyskusje i polemiki.

Trudność, stwierdzona już na początku XIX wieku przez Dobrovskiego, przeprowadzenia ścisłej granicy słowacko-karpatoruskiej wypływa z kilku przyczyn. Niewątpliwie pierwszą z nich jest pomieszanie wsi słowackich i karpatoruskich, a obok tego wysepkowatość i rozproszenie osad karpatoruskich, znane wszystkim polskim turystom zwiedzającym „ruśnackie" osady na Spiszu w okolicy np. Lubowli. Nie byłaby to jeszcze specjalna trudność, gdyż tego rodzaju mozaika właściwa jest wszystkim pograniczom narodowościowym w mniejszych lub większych rozmiarach; tutaj klin karpatoruski, rozproszkowujący się wzdłuż Karpat ku zachodowi, jest wyjątkowo długi. Ale nie w tym leży zasadnicza trudność! Gdyby tylko do tego się ograniczała, znalazłaby rozwiązanie w szczegółowej mapie, umożliwiającej dokładny wykaz klinów czy enklaw, nawet najmniejszych. Trudność leży w czym innym, w tym, że nawet w poszczególnych wypadkach nie ma możliwości dokładnego określenia narodowej przynależności tej czy innej osady, co już wyklucza dokładne rozgraniczenie.

Powodem tego jest brak określonego kryterium, które by można stosować przy wzajemnym rozgraniczaniu obydwóch narodowości. Na pozór bowiem różnica jest wyraźna: przede wszystkim Słowacy to katolicy, a Karpatorusini greko-katolicy; według wyznania możnaby więc pociągnąć linię podziału, jak to w przybliżeniu uczynił ukraiński etnograf Hnatiuk. Ale ta linia za rzeczywistą granicę narodowościową uchodzić nie może, nie uwzględnia bowiem licznych wsi słowackich obrządku grecko-katolickiego. Hnatiuk uważa je wszystkie za zesłowaczonych Karpatorusinów, zaliczając je do Ukraińców, przy czym daje im nazwę „Słowiacy", w odróżnieniu od „Ruśnaków" t. j. czystych Rusinów. Tymczasem wiemy, że są wsi czysto słowackie a jednak greko-katolickie (np. Wernar pod Kralową Holą), ba, są i Rusini katolicy; a co zrobić z prawosławnymi, protestantami?

Inni uczeni próbowali przyjąć tu kryterium językowe. Ale tutaj i ono napotyka na znaczne trudności. Już norweski slawista Olaf Broch zauważył, że na pograniczu słowacko-karpatoruskim wytworzyły się, na szerokim pasie, takie formy przejściowe, które nie są ani językiem słowackim ani karpatoruskim, tylko jakby chemicznym *mixtum compositum* obydwóch. Jest tu poza tym nie tylko szereg wsi o mieszanym dialekcie i o mieszanej ludności, ale — dzięki podobieństwu obu języków — u jednych i tych samych osobników z jednej wsi można usłyszeć na przemian mowę ruską i słowacką, ba, nawet w jednym zdaniu usłyszeć można formy z obydwóch języków. Zresztą — jaka mowa ma być brana pod uwagę, czy ta, którą dany osobnik mówi w domu, czy „panująca" t. j. używana np. w urzędowaniu gminnym?

Pamiętajmy, że nie styka się tu czysty ukraiński język z czystym słowackim, ale narzecze zachodnie karpatoruskie, odpowiadające nieco naszemu łemkowskiemu, podległe silnie wpływom polskim i słowackim, ze wschodnim narzeczem słowackim, zabarwionym obficie naleciałościami (lub też według niektórych polskich i słowackich językoznawców — pozostałościami) polskimi i ruskimi (ukraińskimi). Narzeczy karpatoruskich jest zresztą cały szereg; próbowano je segregować według tego, jakiego wyrazu używają na oznaczenie zaimka co („Cotacy", „Sotacy", „Czopacy"), choć na podstawie jednego zaimka niepodobna klasyfikować gwary.

Może w takim razie ludność miejscowa sama potrafi określić kryterium świadomości narodowej? U ludu tak nisko kulturalnie stojącego, jakim jest lud pogranicza słowacko-karpatoruskiego, to kryterium natrafiać będzie na największe trudności. Większość ludności żyje tu lokalnym patriotyzmem („Co wy tu za jedni?" „A, my t u t e j s i"). Nazwa Ruśnak, nadawana miejscowej ludności przez nią samą i sąsiadów, stanowi raczej określenie wyznania, stąd spotyka się tu Słowaków obrządku grecko-katolickiego, określających siebie jako „Ruśnaków", jak z drugiej strony — ze względu na panujące pomieszanie pojęcia przynależności narodowej z państwową — nie brak i Karpatorusów, określających siebie jako Słowaków. „Ruska ludność" odznacza się tu przede wszystkim jako „ruskiej wiary", to jest obrządku grecko-katolickiego, i stanowi przeciwstawienie ludności rzymsko-katolickiej, a ponieważ taka jest przeważnie ludność słowacka, spotyka się osobliwe określenie: „mowa katolicka" (= słowacka) i dziwne wyrażenie: „Ja Ruśnak, ale mówię po katolicku"; „Ja Grekokatolik, ale mówię po słowacku"; „Ja jestem Słowak obrządku grecko-katolickiego".

Przy tak niskim uświadomieniu ludności, jej zadeklarowanie się zależy od czynników przypadkowych, od porady u księdza czy nauczyciela, czy od namowy sporządzającego urzędową statystykę urzędnika. Statystyki wykazują też niezwykłą zmienność, i wsi, oznaczone np. w r. 1919 jako „ruskie", w r. 1921 zadeklarowały się jako słowackie [2].

W miarę podnoszenia się kulturalnego ludności, ten chaos, wynikający z braku uświadomienia narodowego, bynajmniej nie znika, ale zostaje zastąpiony przez nowy chaos, wynikający z wielorakich możliwości tego uświadomienia. Jakie bowiem są te strony rywalizujące o „rząd dusz" spornego obszaru?

Z jednej strony na samych Karpatorusinów rozciągać swój wpływ usiłują trzy orientacje z Rusi Podkarpackiej, które są tylko pozornie orientacjami politycznymi, w gruncie zaś rzeczy są tendencjami językowo-narodowościowymi: staroruska, karpatoruska i ukraińska. Orientacja staroruska stoi na stanowisku, że Rusini podkarpaccy są częścią narodu rosyjskiego, są jego szczepem o odrębnym narzeczu ludowym; za język literacki uznają język rosyjski z pewnymi korekturami dla miejscowej ludności. Orientacja ukraińska uważa Karpatorusinów za część narodu ukraińskiego i używa języka ukraińskiego jako literackiego; na kresach słowackich jest ona jeszcze bardzo słaba. Wreszcie orientacja karpatoruska uważa ludność za odrębną narodowość karpatoruską, której językiem literackim winien być jeden z dialektów karpatoruskich albo mieszanina takiego dialektu z rosyjskim i starosłowiańskim, stosowana w XIX w. przez ks. Sabowa. Ilość orientacyj dała się we znaki w okresie przewrotu, w postaci rozlicznych, rozmaite orientacje reprezentujących „Rad Narodowych"; Czesi zresztą wcale nie zasięgali też woli ludności; przy włączaniu tego kraju wystarczyło im tylko porozumienie z amerykańskimi Karpatorusinami, z którymi Masaryk zawarł jeszcze w czasie wojny odpowiednią umowę. Każda z orientacyj cieszy się poparciem innych, sytuację wyzyskujących czeskich czynników politycznych, a

[1] Używam tu nazwy „Karpatorusini" z a s t ę p c z o dla odróżnienia ludności ukraińskiej, zamieszkującej Ruś Podkarpacką i wschodnią Słowację, gdyż nazwa „Ukraińcy" w odniesieniu do tych szczepów, o których tu będzie mowa, nie używana ani przez naukę polską i czechosłowacką, ani przez miejscową ludność, może wydawać się anachronizmem.

[2] Statystyki podaje HUSEK J.: *Národopisna hranica mezi Slovaky a Karpatorusy*. Bratysława 1925; książka tendencyjna, ale dość sumiennie podająca argumentacje i wnioski dotychczasowych badaczy tego zagadnienia.

język podręczników szkolnych należy od orientacji panującej w ministerstwie oświaty; zresztą podręczniki te wciąż się zmieniają, tak że w jednej szkole spotkać można równocześnie podręczniki rosyjskie, karpatoruskie i ukraińskie. Językiem wykładowym w szkołach jest mieszanina ukraińskiego czystego lub rosyjskiego z narzeczem miejscowym. Do chaosu dodajmy, że we wsiach greckokatolickich, tak karpatoruskich jak i słowackich, dzieci uczą się jeszcze języka starosłowiańskiego, w którym pisane są książki do nabożeństwa. Poza tym pamiętać należy, że najdalej na zachód wysunięte wsi karpatoruskie wchodzą klinem nie w terytorium słowackie, ale już w polskie, na Spiszu, co bynajmniej sytuacji nie upraszcza, gdyż do całej tej wieży Babel dochodzą jeszcze wtrącane wyrażenia polskie (podhalańskie). Chaos ten charakteryzował już zwiedzający te okolice w r. 1828 filolog polski Andrzej Kucharski: „Kazania zależą (u nich) od kaznodziei, który, jeśli jest rodem z tych okolic, mówi do ludu z polska po słowacku, albo jeśli rodem z Marmaroskiej stolicy (t. j. żupy), gdzie już mówią po rusku, słuchać muszą Rusini zesłowaczeni kazania przecież ruskiego“. Nawiasem możemy jeszcze dodać, że we wsiach przejściowych słowacko-karpatoruskich dzieci uczą się w szkołach w języku „ruskim“ i słowackim, bądź też tylko w jednym czy drugim, w zależności od szeregu, wciąż zmiennych, czynników; kilka lat temu gazety słowackie doniosły np., że wieś Jarzębina (Oriabina) koło Lubowli uchwaliła zamianę szkoły „ruskiej“ na słowacką.

Po stronie karpatoruskiej nie ma wciąż jeszcze dominującego jednolitego poczucia narodowego, nie ma nawet jednego języka literackiego. Sytuacja przypomina podobną, jaka istniała na Słowacji przed stu laty, przed przyjściem Sztura; wszakże na Słowacji proces zapanowania jednej orientacji nad innymi postąpił potem bardzo szybko; na Rusi Podkarpackiej warunki do tego są dużo gorsze.

Taka jest sytuacja po stronie karpatoruskiej, do której usiłuje się hasłem „Co Rušnak (t. j. greko-katolik) to Rusin“ wciągnąć i Słowaków greko-katolików. Po stronie słowackiej sytuacja przedstawia się dużo prościej. Ale i tu ciąży nieco, z jednej strony, niewyjaśniony dylemat: „naród słowacki czy czechosłowacki?“ Nie stanowiłoby to samo w sobie trudności, gdyż różnica w opowiadaniu się za jednym czy drugim nie pociąga za sobą różnicy języka literackiego, gdyby nie to, że wschodnia Słowacja, mówiąc odrębną gwarą (według niektórych językoznawców opartą na polskim podłożu), a długo żyjąca własnym, nieco odrębnym życiem narodowym, aspiruje do własnego języka literackiego, którym chce uczynić narzecze szaryckie. Język ten długo był używany w potocznym życiu na wschodniej Słowacji i jeszcze po wojnie wydawano w tym języku w Preszowie pismo *Nasza Zastawa*. Nie da się zaprzeczyć, że o ile Słowacy greko-katolicy mogą uważać ten język też za swój język literacki, o tyle do panującego dziś i przyjętego za język literacki języka środkowo-słowackiego odnosić się mogą nieco nieufnie. Jest tu więc nowy szkopuł w problemacie kwestii Słowaków greko katolików i granicy słowacko-karpatoruskiej.

Ani więc wyznanie, ani język, ani własna świadomość ludności nie dały możliwości idealnego rozgraniczenia Słowaków od Karpatorusinów. Tym mniej możliwości daje etnografia. Obydwie narodowości należą do jednego kręgu kulturalnego (bałkańsko-karpackiego); oczywiście w budownictwie, stroju, zwyczajach mogą się znaleźć cechy przeważające jednej czy drugiej strony, ale przeprowadzenie według tego ścisłego rozgraniczenia przy obfitości wzajemnych zapożyczeń i infiltracyj jest zupełną niemożliwością. Tak samo historyczne zbadanie, kto tu jest autochtonem, nie jest możliwe bez gruntownych studiów osadniczych; a nie brak i wywodów, że Słowacy greko-katolicy nie są zesłowaczonymi Karpatorusinami, ale pierwotną ludnością słowacką, ochrzczoną przez św. Cyryla i Metodego według obrządku wschodniego, którego wpływowi zawdzięczać należy rzekome wschodnie wpływy w języku.

Z dotychczasowymi kryteriami stoi się wobec dylematu granicy słowacko-karpatoruskiej zupełnie bezradnie. Granice narodowościowe podawane przez czeskich, słowackich i ukraińskich autorów wykazują — jak to uwidoczniają załączone mapy — znaczne różnice. Może dopiero bieg faktów, narastanie orientacyj, krystalizowanie się oblicza narodowego, ukończenie procesów wynaradawiających — zdołają sytuację nieco wyjaśnić.

Widzimy więc, że śród problemów narodowościowych Czechosłowacji nie brak jeszcze zagadnień zawiłych, problemów otwartych. Osobliwość tego zagadnienia śród innych leży — jak widzimy — nie tylko w skali trudności, wynikającej ze skomplikowanych i różnorakich czynników, ale przede wszystkim z ich zmienności i płynności.

TYMON TERLECKI:

RYSZARD W. BERWIŃSKI*

Nie znajdzie się na obszarze literatury polskiej zbyt wiele postaci, na których fatalność historii zaciążyłaby w sposób tak nieprzejednany jak na tym imieniu: Ryszard Wincenty Berwiński. Widzi się to dziś aż nazbyt jawnie. I z dzisiejszej perspektywy trudno to poczytywać za winę, trudno w jego życiu upatrywać przykład odstraszający, jak to czyniła krytyka pośmiertna, zakrawając nie raz na ograniczone moralizatorstwo i belferski pedantyzm.

Los swój — jakże we wszystkim przejmująco polski — podzielił Berwiński ze swoim czasem. To był jego wielopostaciowy tragizm. Wprzód uderzyła w niego epoka polistopadowa całym naporem klęsk i zawodów — w niego, który miał być przytomnym świadkiem czterech powstań nieudanych. Potem go w sobie pogrzebała — jeszcze za życia. I śmierć rzeczywista, zbyt długo czekana, nie otworzyła tego grobu. Rzuciła na brzeg innej części świata i ślad po nim zatarła. Gdy go dziś odszukać niepodobna, wolno i trzeba dobyć wszystko to, co weń zapadło — niesławne, niesprawiedliwie potępione.

Ma epoka macierzysta Berwińskiego — dla której nie znaleziono dotąd miana i którą można by z niejaką słusznością nazywać: odrodzeniem wielkopolskim — charakter meteoryczny: trwa od r. 1830 — 50, ściślej od 1834 — 50. Dwa krańce powstańcze: rok 31 i 63 rzuciły cień na jej usiłowania w zawiązku nieudane, na podwójny „niedoczyn“, jak Ludwik Mierosławski określał rok 46 i 48. Taka sama była poezja Berwińskiego i to samo przypadło jej w udziale. I ona w ścisłej zależności i zgodzie z chwilą, która ją wydała, nosi piętno czegoś zaczątkowego, czegoś ułamkowego, jest — poczją fragmentu. I ona ze zmianą koniunktury kulturalnej po roku 1850 wypadnie z obiegu, podlegnie całkowitemu zapomnieniu albo co najwyżej ocenie jak najdalszej od bezstronności.

Nie tylko to: niejako zewnętrzne podobieństwo losów zespala twórczość Berwińskiego ze współczesną mu epoką. Zachodzi między nimi najściślejsza odpowiedniość wewnętrzna. Berwiński i przez swoją poezję i



Portret Ryszarda Berwińskiego robiony dla matki w Paryżu w r. 1855 przed wyjazdem do Konstantynopola. Ze zbiorów Bolesława Mizerskiego

także przez bezpośrednie działanie życiowe jest reprezentantem swego czasu. Jest w ogóle jedną z postaci klasycznie instruktywnych, jakby diltheyowskim „człowiekiem epoki“.

Na ten, zdawałoby się, prosty fakt reprezentatywności autora *Bogunki na Gople* i *Don Juana Poznańskiego* dla doby odrodzenia Wielkopolski nie zwrócono dotąd właściwej uwagi. Współcześni ustanawiali taką trójcę przedstawicielską: Edward Raczyński, Marcinkowski, biskup Dunin. Pierwszy historyk tego okresu, Kazimierz Jarochowski, skorygował ją, słusznie wysuwając w miejsce Dunina — Libelta.

Berwiński z pominięciem ogniwa pośredniego: umiarkowanego konserwatyzmu, który reprezentuje Marcinkowski, streszcza w sobie i doprowadza do punktu kulminacyjnego zasadnicze rysy tamtych dwu przeciwstawnych postaci: Raczyńskiego i Libelta. Od skrajnego tradycjonalizmu, historyzmu przechodzi ewolucję w kierunku krańcowego zradykalizowania i zrewolucjonizowania społeczno-narodowego.

Libelt, jedna z czołowych osobistości ówczesnej demokracji poznańskiej, pod względem siły znaczenia niewątpliwie wyższa od poety-rewolucjonisty, wykazuje w przeciwieństwie do niego wybitny konformizm,

* Wstęp do książki p. t. *Rodowód poetycki Ryszarda Berwińskiego*, która niebawem ukaże się jako tom „Biblioteki Kroniki miasta Poznania“.

JÓZEF GOŁĄBEK:

POLSKA ZA GRANICĄ

(Z WRAŻEŃ PODRÓŻNIKA)

Wiemy dobrze, jak dzisiaj wszystkie narody dbają o propagandę swoich państw; w jakiej mierze jest to ważne, dowód w tym, że tu i ówdzie powstają nawet odrębne ministerstwa propagandy. Ma to wszystko niewątpliwie swoje znaczenie i doniosłość, ale z drugiej strony każda celowo robiona propaganda budzi niejednokrotnie nieufność właśnie ze względu na swoją oficjalność. Można też bez trudu stwierdzić, że działalność tego rodzaju pozostaje często między urzędowymi osobistościami, przejawia się w ten lub inny sposób w prasie, ale nie przenika do głębi społeczeństwa, do jego warstw niższych, a przez to nie daje wyraźnego pojęcia o danym narodzie.

Piszę o tym, ponieważ w podróżach moich interesował mnie w poważnej mierze stosunek różnych narodów do Polski, przy czym, podróżując całkiem prywatnie, miałem możność nawiązywania rozmów z ludźmi różnych warstw i różnych zawodów, co daje tym ciekawszy obraz. Muszę stwierdzić od razu, że słowo Polak posiada dzisiaj w Europie dość dużą wagę i jeżeli chcemy przekonać się o wartości naszego państwa i o jego ważkości, to właśnie ciekawe będzie posłuchać, co inni o nas szczerze mówią. Powiedziałbym nawet, że jest to narodowe podniesienie ducha, zwłaszcza gdy się słyszy więcej zachwytów o Polsce, niż jest do tego uzasadnienia, ale z drugiej strony pobudza to wszystko do unikania zbytniego szowinizmu i megalomanii, a równocześnie indywidualnego i zbiorowego działania w kierunku wyrównania jeszcze licznych braków, jakie się u nas bardzo widocznie narzucają, wśród innych np. brak skoordynowanego działania w każdym kierunku, co tak wyraźnie zaznacza się w wielu krajach.

Trudno by było opisać wszystko, co się słyszało o Polsce od różnych narodów, trudno również wyśledzić te różne imponderabilia, które powodują nieraz aż nadto serdeczne ustosunkowanie się do Polski i Polaków. W każdym razie pozwolę sobie wątpić, czy wolno zasługę w tym względzie przypisywać wyłącznie naszej oficjalnej propagandzie. Ma ona pewnie zasługi, ale z drugiej strony warunki, w jakich się dzisiaj rozwija życie polityczne Europy, gra tu poważną rolę. Oczywiste też, że narody mniejsze oceniają lepiej rolę Polski, aniżeli t. zw. mocarstwa.

Przywykliśmy sądzić, że nasz przyjazd gdziekolwiek do Francji będzie powitany przynajmniej wywieszeniem flag, tymczasem czeka nas dość duże rozczarowanie. U przeciętnego obywatela francuskiego słowo Polak nie wywołuje żadnego szczególnego rezonansu, a więc ani zachwytu ani zdziwienia, raczej przyjmowane jest dość obojętnie i nie daje podstaw do nawiązania jakiegoś bardziej uczuciowego stosunku. Jest to zrozumiałe, ponieważ każdy Francuz ma możność obcowania z narodami całego świata i tylko Anglik stanowi dla niego wagę czy przeciwwagę, to też stosunek jego do przedstawiciela Albionu staje się wyjątkowo ciepły i serdeczny.

W ostatnich latach Niemcy akcentują ważność Polski. Nie wyniosłem jednak tego wrażenia, aby przeciętny Niemiec, który przez długie lata miał wpajane lekceważenie dla narodu polskiego, mógł pojąć właściwie tę ważność i rozumieć ją należycie, szczególnie, że ani historia naszego narodu ani nasza kultura nie jest mu dobrze znana. Jasne jest, iż każdy obywatel niemiecki zdaje sobie z tego sprawę, iż między Polską a Niemcami są dziś stosunki poprawne, ale to jeszcze nie jest powodem do rozlewności. To też wypowiadanie uczuć jest dość wstrzemięźliwe i po większej części zamyka się w takim frazesie: „Jesteśmy przyjaciółmi, ale korytarz musi być nasz!“ Jest to, jak widać, postawienie sprawy całkiem jasne i szczere. Nie ma tych trudności w rozmowach z Austriakami, którzy nie mają żadnych zastrzeżeń co do całości Polski, to też wypadnie przyznać, że ujmowanie przez nich sprawy polskiej jest dość szczere i nie pozbawione dużej sympatii, o czym mogłem się przekonać niejednokrotnie.

Jeśli chodzi o stosunek Włochów do Polaków, to muszę przyznać z prawdziwą przyjemnością, że w licznych wypadkach moja przynależność do narodu polskiego spowodowała bardzo szybkie nawiązanie serdeczności. Mam wrażenie, że Włosi wiedzą bardzo dużo o Polsce, przy czym prasa włoska niejednokrotnie podaje poważne i interesujące artykuły dotyczące naszego państwa. Wydaje mi się, że naród włoski jest bardziej zdolny do wyrażania pewnych uczuć, aniżeli naród francuski, że Włosi nie są zapatrzeni tylko w samych siebie, lecz uznają również wartości innych narodów. Wprawdzie ocena ta kojarzy się z ich dzisiejszym ustrojem, przy czym mają przekonanie, że ich ustrój jest analogiczny do naszego. Przypuszczam, że sam duce Mussolini ma dla Polski dużo sympatii, która przechodzi na całe społeczeństwo. Nie mniejsze znaczenie ma i to, że dzisiejszy papież jest serdecznym przyjacielem Polski, a bądź co bądź, papiestwo w dzisiejszych Włoszech w sferze życia moralnego i tworzenia się pewnego poglądu na świat ma poważne znaczenie. Przyznam się szczerze, że bezpośredni stosunek Włochów do mnie jako Polaka, nader ujmujący i serdeczny, skłonił mnie do wyrobienia w sobie wielkiej serdeczności dla narodu włoskiego.

Jak mnie pouczyło doświadczenie, serdeczny stosunek Turków do Polaków nie jest czysto konwencjonalny: do dnia dzisiejszego sympatia tych dwóch narodów, które prowadziły ze sobą wojny przez długie wieki, lecz pewnie dzięki obustronnej rycerskości, ceniły się wzajemnie, przetrwała w całej pełni i nie ma wątpliwości, że Turcy powitali z życzliwą radością niepodległość państwa polskiego. Miałem możność stwierdzić kilkakrotnie, że Turcy wiedzą dużo o Polsce. Dzięki też temu wpadłem na pomysł, aby mając jakąś sprawę do Turka, rekomendować mu się wyrazem „Lechistan“ — Polska (dzisiaj zresztą Polska nazywa się oficjalnie w Turcji Polonia), który zawsze sprawiał, iż wzamian otrzymywałem miły uśmiech i wielką pomoc. Stwierdzenie przeze mnie, że i w Polsce cieszą się Turcy przyjaźnią, ułatwiało wytworzenie bardzo dużej serdeczności. Mam wrażenie, iż w każdym wypadku, gdy Polak znajdzie się w Turcji, następuje wymiana tego rodzaju serdeczności.

Jeśli natomiast chodzi o Greków, to wyniosłem przekonanie, że między tym narodem a polskim stosunek uczuciowy jest raczej obojętny, nie ma po prostu jakiejś ściślejszej więzi, która by te narody zbliżyła do siebie, wskutek czego ani Polak nie odnosi się z jakimś szczególnym afektem do Greka ani też z jego strony nie doznaje zbytniej serdeczności. Podobny stosunek dałby się zaobserwować ze strony Rumunów, chociaż sąsiedztwo i częstsza wymiana interesów ożywiała w pewnych okresach uczucia ze strony tych naszych sąsiadów. Nie podając szczegółów przeważnie przykrych doświadczeń ze stosunków z Rumunami, powiem ogólnie, że tu raczej interes osobisty bierze górę nad wszelkiego rodzaju innym uczuciem. Dlatego też i Polak w Rumunii jest raczej wstrzemięźliwy w ujawnianiu czułości.

Wiadomo powszechnie, że dwa bratanki: Polak i Węgier niemal rzucają się sobie w objęcia, kiedy się spotkają. Na Węgrzech Polak ma całkiem pewny kredyt, zresztą Madziarzy poza dawną historyczną tradycją sympatii do Polski umieją dzisiaj w tak zręczny sposób kojarzyć sprawę osobistej serdeczności z interesem państwowym, że każdy Polak, mniej świadomy dziejów madziarskich i stosunku Węgrów do innych narodów, które były pod ich rządami, staje się ich zaprzysiężonym obrońcą, jak również zwolennikiem rewizji granic dzisiejszego królestwa węgierskiego, oczywiście z korzyścią dla niego.

Pozostaje do omówienia stosunek do braci Słowian. Ze względu na mój fach ten stosunek najwięcej mnie interesował; spostrzeżenia moje są w tym względzie różne, ogólnie jednak dodatnie. Trudno nam niewątpliwie wytworzyć jakiś stosunek serdeczny z Rosjaninem-emigrantem, zaraz bowiem w pierwszym zdaniu zawiera się jakaś nieuzasadniona pretensja i jakiś żal. Takie postawienie sprawy doprowadza jedynie do jałowej dyskusji, która nie daje nic pozytywnego, a raczej budzi przekonanie, że rosyjska emigracja nie pogodziła się z faktem niepodległej Polski, której ma to przede wszystkim do zarzucenia, że nie złamała dla jej pożytku bolszewizmu. Łatwiej natomiast porozumieć się z emigracją ukraińską, ta bowiem ma jasno wytknięty cel i dąży do niego z całą świadomością, a mianowicie do zdobycia niepodległości. Niewątpliwie w tych rachubach Polska może odegrać poważną rolę i zwykle w rozmowach prywatnych dyskusja przechodzi na ten temat, dający nowe horoskopy dla znaczenia Polski na Wschodzie.

Wiadomo, że w chwili obecnej między Czechami a Polakami istnieje stan wojenny. Przyznać jednak trzeba, że ten sąsiedzki spór ma raczej oficjalny charakter, natomiast społeczeństwa stoją na innym stanowisku. W całym tym sporze jest to najciekawsze, iż Polak dowiaduje się ze zdumieniem od Czecha, iż niechęć wypływa z naszej strony, podczas gdy myśmy sądzili, że ofensywa idzie ze strony czeskiej. Koniec końców okazuje się, że cały spór jest jakimś niewyjaśnionym nieporozumieniem, że przy pewnej dobrej woli stosunki polsko-czeskie mogłyby się wyjaśnić i naprawić. O ile z Czechem nawiązanie ser-



Fotografia Ryszarda Berwińskiego robiona w Berlinie w r. 1866. Ze zbiorów Bolesława Mizerskiego

zdolność przystosowania się, wysokie poczucie praktyczne, realistyczną trzeźwość. Jego działalność akomoduje się do zmienionych warunków, gdy Berwiński po prostu nie wytrzymuje zmiany koniunktury politycznej i kulturalnej po roku 1850, znacząc przez tę niezdolność aklimatyzacji głębsze, nieprzejednane zdecydowanie ideowe, jakąś organiczną nieprzystosowalność. Libelt jeszcze dla całej następnej, tak różnej w nastawieniu epoki będzie jednym z czynników konstytutywnych, jego współpracownik w *Dzienniku Polskim* swój właściwy los poetycki i czyn życiowy zawrze — jakby symbolicznie — w granicach tego krótkiego rozbłysku swojej dzielnicy.

Zmiana sytuacji, która nie stanowiła zasadniczej przeszkody dla Libelta. nie tylko wypchnęła Berwińskiego poza obręb Księstwa, ale zaczęła zacierać pamięć po nim. Antyklerykał, radykalista, zwolennik aktywizmu społecznego i narodowego, który w poezji wyraził niezwykle i jedyne na tym konserwatywnym, niepolotnym partykularzu wychwianie z równowagi, stał się czymś wstydzącym, obcym, nawet — nienawistnym. Jego hasła były nieprzegrane, *prestige* spadł do zera. Nie dawano mu już posłuchu. Ani *Studia* ze swoją rewolucyjną, prekursorską tezą o ludzie, mimo że przypadały do rodzącego się tu pozytywizmu myślenia, ani próby praktyczne, przedsiębrane w Turcji, usilujące wciągnąć Wielkopolskę w orbitę dążeń i spodziewań formacyj polskich pod Sadykiem Paszą [1] — nie zdobyły sobie już żadnego znaczenia. Akcja dzielnicyześrodkowała się w zupełnie innym punkcie, poszła w dwóch kierunkach, głęboko Berwińskiemu obcych: obrony katolicyzmu i obrony materialnego stanu posiadania.

To oznaczało jego wypadnięcie z obiegu. A dostosowywać się nie chciał i nie umiał. Należał do bezkompromisowych. Nawet śmierć na dalekiej obczyźnie (w roku 1879), zamykająca życie bezlitosną i nazbyt długą pokutą — za winy rzekome, nie przebłagała losu. Lwów i Warszawa wspomniały go serdeczniej — one, które osłabionemu już talentowi głos dawały — niż miasto mu bliskie, Poznań, w którym od wyjazdu na Wschód nie ukazało się niemal ani jedno jego słowo. To wszystko był ciężar przedstawicielstwa jednej epoki przed drugą, która ją zaprzeczyła. To był tragizm szczególny — przeżycia swego czasu.

Sformułowana obszernie teza o reprezentatywności Berwińskiego dla okresu ruchów niepodległościowych w Poznańskim jest tezą niniejszej pracy. Przedstawia ona przesłanki, które odbierają temu twierdzeniu apriorycznośc, które właśnie do niego doprowadziły. Co prawda nie stara się to studium wyczerpać kwestii: zajmuje się tylko Berwińskim-poetą, w niewielkim stopniu na razie uwzględniając jego działalność praktyczną (konspiracyjną, agitatorską, publicystyczną, polityczną). Ale i w tej postaci ukaże ono, jak przez naturę swego temperamentu, bardzo wrażliwego i chłonnego, Berwiński kolejno przechodzi i skupia w sobie wszystkie współczesne prądy ideowe, jak uczestniczy w każdym ruchu swej ziemi i swego czasu, jak te sprzeczne niekiedy tendencje syntetyzuje, jak je — z właściwą sobie skłonnością do ekstremizmu — potęguje w sposób krańcowy.

Jest więc ta praca, stanowiąca odmienne opracowanie ustępu obszernej, gotowej całości — studium genetycznym, które opiera się o szerokie założenie. Właśnie o założenie reprezentatywności Berwińskiego. Położono tu nacisk na możliwie pełne wyśledzenie związków ze środowiskiem, z t. zw. atmosferą epoki, na ustawienie ścisłej relacji między poetą a jego czasem. W ciągłości chronologicznej związano najwcześniejsze próby pisarskie, pierwszą syntezę o założeniu regionalistycznym: *Bogunkę na Gople* (1840) i drugą, która jest manifestem, nawołującym do aktywizmu społeczno-narodowego: *Poezje* z r. 1844. Poza obrębem tematu pracy pozostaje ostatnie, ocalałe z rozgromu dzieło Berwińskiego: *Studia o literaturze ludowej* (Poznań 1854), [2], a to z tej przyczyny, że jest ono aktem zejścia poety, poza wszystkim innym stanowi dokument rozczarowania tym, w co wierzył twórca *Bogunki*, o co walczył pieśniarz *Poezyj*. *Studia* są zamknięciem okresu odrodzenia wielkopolskiego i otwarciem epoki nowej; poza jej granicami duchowymi i fizycznymi pozostanie aż do odległej śmierci tragicznej banita turecki — banita ze swego czasu i z samego siebie.

I to na koniec winno się zaznaczyć, że poszukiwanie rodowodu Berwińskiego jako poety jest jakby samo przez się jego — rehabilitacją. Wskazuje w nim pierwszego poetę czasu, poetę, który ten czas wypowiadał najbardziej krańcowo, najdobitniej, najwyraziściej. Można jeszcze dopowiedzieć: najofiarniej. Wziął za swoje wszystkie jego wiary, wszystkie miłości, wszystkie nienawiści i potem wszystkie tragiczne następstwa. Dźwigał je aż do śmierci i — poza śmierć.

[1] Tymon Terlecki: *Listy tureckie Ryszarda Berwińskiego do Władysława Bentkowskiego i Karola Libelta* — Kronika miasta Poznania, Rocznik X. nr. 4 i XI nr. 1 oraz osobno: Poznań 1933.

[2] O zagładzie całej twórczości po r. 1854, studiów nad etnografią serbską i bułgarską, *Listów z Turcji*, wielkiej konstrukcji historiozoficznej: *Rzym i Konstantynopol*, dramatu pisanego w ostatnich latach życia i „kilku" innych prac — por. Terlecki: *Listy* j. w.

---

decznego kontaktu jest w pewnym stopniu utrudnione ze względu na dzisiejsze zagonienie, o tyle ze Słowakiem wywiązuje się od razu wielka serdeczność. Słowacy stoją raczej na uboczu od tego sporu, a uznając konieczność swego współistnienia jako czynnika równoważnego w państwie czeskosłowackim, cenią zarazem wysoko kulturę polską i pragną ściślejszych z nią związków.

Podobnież w Jugosławii, zwłaszcza ze strony Chorwatów, doznaje Polak dużo serdeczności i zasadniczo nawiązuje się tu miły kontakt, szczególnie z tego względu, że kultura chorwacka, nawskroś zachodnio-europejska, jest bardzo zbliżona do polskiej. Nie wynika z tego, aby nie było serdeczności ze strony Serbów, ale to już są dwa różne światy.

Pozostawiło się na koniec najbardziej oddalonych od nas Słowian — Bułgarów. Uczyniło się to świadomie, ponieważ w ich ojczyźnie Polak czuje się, jak u siebie w domu. Nie ma w tym sztucznej propagandy, lecz raczej coś całkiem naturalnego i sympatia do Polaków sięga tu do warstw najniższych. Niedawno po krótkiej rozmowie z tragarzem bułgarskim w pewnym prowincjonalnym miasteczku usłyszałem takie z jego strony oświadczenie: „My Bułgarzy lubimy najbardziej Polaków i Niemców". Oświadczenie to wskutek zestawienia nie bardzo mnie ucieszyło, niemniej w pierwszej połowie jest miłe. Przyznać jednak należy, że i Polacy mają bardzo dużo sympatii i serdeczności dla Bułgarów, zwłaszcza gdy się ich pozna w ich ojczyźnie i stwierdzi nadzwyczajną pracowitość i talent organizacyjny, wytrwałość i dążność do stworzenia pewnej siły pomimo dwóch przegranych wojen.

Godne uwagi, że po największej części rozmowy z cudzoziemcami na temat Polski obracają się około trzech spraw: znaczenia Marszałka Piłsudskiego, stanowiska Polski wobec innych państw, przy czym ocenia się jej poważne znaczenie, i sprawy żydowskiej, bo jak się okazuje, jest ona dziś wszędzie aktualna. Świat jest doskonale poinformowany, że w Polsce żyje niemal jedna czwarta ogółu Żydów, wie również, jak bardzo z tego względu jest Polska upośledzona, zwłaszcza moralnie, i że nadchodzi czas, aby sprawa żydowska w Polsce została nareszcie rozwiązana. W tym względzie słyszy się niejednokrotnie dużo życzliwości dla narodu polskiego i dużo... współczucia z powodu bezgranicznej polskiej tolerancji.

U ZNACHORA

Innych guseł i leków nie trzeba:
Kielich słońca, źródlana karafka,
Łyk powietrza, odskocznia do nieba
I anteny jaskółcza huśtawka.

Iść o świcie — słońce blaskiem pröszy
I oddycha napęczniała gleba,
Przejść południem w czas lipcowej suszy
I z wieczornym śpiewem wrócić trzeba.

STEFAN GOŁĘBIOWSKI

POEZJA

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA: *Słowik litewski*. Warszawa 1936. Gebethner i Wolff.

Nowy zbiór wierszy Iłłakowiczówny można by nazwać retrospektywnym, gdyż znalazły w nim miejsce utwory liryczne wszystkich niemal rodzajów, z jakimi w dotychczasowej twórczości poetki mogliśmy się spotkać. A więc wiersze, tryskające z najczystszych źródeł liryzmu, które możnaby zaliczyć do gatunku *poésie pure*, takie jak *Lament* i cykl *Wnętrze pierścienia;* dalej — liryki, których treść uczuciowa oplata się dokoła wspomnień z dzieciństwa, dokoła ukochanego przez poetkę pejzażu litewskiego; i liryki rodzące się z konfliktu dwóch miłości poetki, miłości do dwóch ojczyzn, do tej, która „upadłą z gniazda na bruk..., podniosła... piskłęciem spod nóg", ojczyzny walki i zwycięstwa, Polski, i do ojczyzny dzieciństwa i wspomnień, Litwy; dalej — cykl wierszy belwederskich, związanych ze śmiercią Marszałka Piłsudskiego, ballady i wiersze o charakterze tendencyjnym, takie jak utylitarystyczne wiersze o lnie, lub publicystyczne *Wezwanie do chrześcijan*. Tom więc nie jest jednolity, tak jak nim był np. *Płaczący ptak*. I właśnie z tego punktu widzenia może budzić zastrzeżenia, raczej nieporozumienia. Bo nie wszystkie utwory w nim zebrane należy wartościować z jednego tylko stanowiska, ze stanowiska czysto estetycznego, czy artystowskiego, czy ze stanowiska czystej poezji, wszystko jedno jak to nazwać. Rymowane artykuły publicystyczne, czy wiersze reklamujące polski len, trzeba oddzielić do grupy raczej robótek poetyckich, przedstawiających wartość przede wszystkim jako materiał do poznania indywidualności poetki, choć leży na nich wyraźne piętno jej własnego, jedynego stylu wypowiedzi. Wiersze te jednak w niczym nie mogą wpływać na nasze zdanie o wartości innych utworów i zupełnie nie upoważniają do lekkomyślnych sądów, jakie nieraz dają się słyszeć o twórczości Iłłakowiczówny, szczególnie z ust młodszego „zawangardziałego" pokolenia, sądów potępiających całą twórczość poetki i zarzucających jej wręcz grafomanię. Sądzę, że utwory te świadczą raczej korzystnie o poetce, gdyż są dowodem bogactwa jej zainteresowań, bogatwa duszy i serca, dowodem wielostronnej wrażliwości i uczuciowości. A cóż mi za korzyść, jaka skala przeżycia dla percypującego zgrabne i wymyślne, ale puste metafory „czystych" a jałowych i ubożuchnych składaczy słów, snobów poezji, kręcących się za ogonem własnej problematycznej wielkości?

Trudność oceny poezji Iłłakowiczówny leży w tym, że przy czytaniu jej wierszy ulegamy prądowi wzruszenia, jaki z nich płynie, nie absorbowani przez grubym ściegiem znaczone sztuczki formalne, a kiedy chcemy zdać sobie sprawę z tego, jakimi środkami poetka osiągnęła cel wciągnięcia nas w swój świat odczuwania, okazuje się, że środki te, na pozór przynajmniej, są bardzo proste i nieskomplikowane, że daliśmy się ponieść przede wszystkim również pozornej szczerości i bezpośredniości wyrazu. Bo poezja Iłłakowiczówny, jak każda prawdziwa poezja, jest zrozumiała dla wszystkich, każdy może ją odczuć. Nie jest to poezja, którą mogą zrozumieć i odczuć tylko wybrani, jakaś grupa przerafinowanych smakoszów słowa poetyckiego. Ale i najbardziej wymagającemu odbiorcy poezja ta dostarczy dość nie tylko wzruszeń, lecz i problemów technicznych. Najtrudniej zdać sobie sprawę z takiego zjawiska w poezji, gdzie wyraz ściśle przylega do treści. Tam gdzie najważniejszą dla autora kwestią bywają same formy wyrazu, wyszczerza analiza tych form, a nawet przy ich największym skomplikowaniu klucz da się przecież zwykle bez zbytniego trudu znaleźć. W poezji takiej jak Iłłakowiczówny nie ma klucza formalnego; tu treść wzruszeniowa spontanicznie powołuje do życia właściwe formy wyrazu. Jednym kluczem otwiera się treść i forma wyrazu. Iłłakowiczówna jest poetką, i tylko poetką. Można by niemal twierdzić, że nie umie się wypowiedzieć inaczej jak w formie wiersza. Toteż w formę wierszową ujmie i polityczne wyznanie wiary, i religijny apel, i wspomnienie z dzieciństwa, i wspominki o zmarłym przyjacielu. Tym tłumaczyć można rozmaitość wątków treściowych w jej ostatnim tomie. Tym się też tłumaczy pozorna prostota jej wyrazu. Mówię pozorna, bo w częstej prymitywizacji wiersza Iłłakowiczówny, choć najściślej wynika ona z treści przeżycia, choć rytm jej zawsze jest zgrany z rytmem uczucia, leży cała tajemnica sztuki poetki. Efekty osiągane w ten sposób są wynikiem świadomej i celowej pracy. Świadczyć o tym może choćby parokrotne opracowywanie przez poetkę jednego wątku tematycznego, jak to jest np. z pięknymi balladami: *Królewska matka* i *Wiersz zaduszny*. Podobnie dzieje się z wersyfikacją Iłłakowiczówny. Prymitywizacja form sylabo-tonicznych i tonicznych prowadzi ją do efektów wersyfikacyjnych, których już nie można wliczyć do żadnego z tych systemów, czy to będą wiersze o jakimś litanijnym toku, czy wiersze o rytmie zbliżonym do ludowych ballad, w których budowa toniczna przelewa się w jakieś *recitativo* z najsilniejszymi akcentami wzmocnionymi przez rym umieszczony w ostatnim członie nierównych wierszy (daje to efekt zawodzenia). Wogóle wersyfikacja Iłłakowiczówny może stanowić pierwszorzędny materiał dla badaczy zajmujących się tymi zagadnieniami.

Słowik litewski zawiera szereg cyklów. Tytułowy cykl *Słowik litewski* mieści wiersze związane z Litwą i wspomnieniami dzieciństwa, po czym idzie również z tych źródeł płynący poemat *Najdłuższa miłość*, stylizowane na ludowe bajki o Matce Boskiej *Gromnice i wilki*, cykl *Wiersze belwederskie* — najlepsze chyba i najbezpośredniejsze z wierszy, jakimi poezja polska żegnała Marszałka Piłsudskiego, cykl *Polonia Restituta* z tak pięknymi utworami jak *Kamień i słowik*, ballady o Swarożycu i pogańskich bóstwach — *Stare bóstwa*, niezwykłej czystości liryzmu poemat *Lament* i cykl *Wnętrze pierścienia*, najczystszy chyba poetycki cykl miłosny, utwory *Schadzka*, *Ogłoszenie o mieszkaniu*, poemat *Czysta woda*, *Zwycięstwo krzyża* — poemat o ucieczce św. Piotra z Rzymu, *Trzy wiersze doraźne* i cykl *Treny*. Tom więc jest bardzo bogaty, a przez rozmaitość wątków lirycznych, różnogatunkowość utworów jest jakby wyborem z całej dotychczasowej twórczości Iłłakowiczówny i pozwala zdać sobie sprawę z ogólnego charakteru tej twórczości i z indywidualności poetyckiej autorki.

WŁ. SEBYŁA

POWIEŚĆ

ANNA i JERZY KOWALSCY: *Gruce*. Powieść. Tom pierwszy. Tom drugi. Warszawa 1936. F. Hoesick.

Powieść nosi tytuł brzmiący tajemniczo i liczy stron 1311 — pierwsze budzi zaciekawienie, drugie niepokoi czytelnika, nie będącego nałogowym pożeraczem „grubych" powieści. Gdyby stale objętość książki wzrastała proporcjonalnie do liczby członków spółki autorskiej, siły czytelnika okazywałyby się za słabe, a kolektyw rodziny pisarzy spowodować by musiał najpewniej powstanie spółdzielni recenzentów — oczywiście z odpowiedzialnością ograniczoną. Książka byłaby wspólnie pisana, wspólnie czytana i wspólnie recenzowana — oto ponętna perspektywa przyszłości.

Takie refleksje, nie najlepszej jakości, powstały nie *przed* lecz *po* przeczytaniu książki pp. Kowalskich, a to na skutek pasji, jaką obudził we mnie fakt najfatalniejszego gospodarowania zdolnościami pisarskimi ze strony ich posiadaczy. Pojawieniu się literackiej pary małżeńskiej (*Mijają nas* i *Złota kula*) towarzyszyły komentarze raczej przychylne, podkreślające oryginalność talentu i interesującą formę. Padały zresztą i ostrzeżenia — zwłaszcza co do nadużywania przez Kowalskich dowcipu i niedostatecznej jego selekcji. Na terenie *Gruców* zarówno zalety jak wady tej oryginalnej spółki literackiej wystąpiły z niezmierną wyrazistością, przy czym wady uzyskały wymowę szczególną, zdradziły bowiem przykre rozejście się autorów z ustalonymi pojęciami o literaturze i gatunkach literackich. „Powieścią" nazwali państwo Kowalscy swój literacki karabin maszynowy, ostrzeliwujący w szerokim zasięgu Lwów burżuazyjny, mieszczański, ziemiański, intelektualny, dosięgający wygadanych paniuś, egoistycznych zramolałych arystokratów, zbogaconych żydowinów, uczesanych modą pudlową redaktorów, poetów i uczonków, wreszcie szoferów, prostytutek, bezrobotnych etc. etc. Tymczasem w *Grucach* jest dopiero materiał na kilka powieści oraz na kilkanaście nowel i reportaży społecznych (w ostatnim zakresie — doskonałe sceny spisu ludności i herbaciarnie dla bezrobotnych). ale czynnika ładu i konstrukcji — ani poświecić. Jako odrębne całości występują np. dzieje młodości Maliny Bratkowskiej i jej rówieśniczek, tragedia Leona Grucy, któremu straż graniczna zabija syna-Ukraińca, koszmarna karykatura ziemiaństwa galicyjskiego w osobach degeneratów Miłobłońskich i ponura farsa, gdzie w roli głównej występuje architektowa Kućwinowa, która fortancerza (bezrobotnego szofera) zaręcza z córką i czyni bogiem oraz władcą niewolników w swym własnym domu. Wymienione wątki nie wyczerpują całości, ale też kusić się o dokładne przedstawienie zawartości treściowej *Gruców* byłoby rzeczą niewykonalną. Autorzy mają o każdej postaci tyle historyjek do opowiedzenia, tyle przychodzi im do głowy pomysłów i uwag, że boki „powieści" rozpychają się jak u zapakowanej walizce, do której ktoś zdenerwowany pożarem nawrzucał w ciemności, co było pod ręką.

Przede wszystkim pociąga on aktualnością zagadnienia. Wzmagające się tempo robót publicznych, etatyzacja całego szeregu przedsiębiorstw coraz mocniej stawia przed oczy polityków społecznych zagadnienie organizacji warsztatów — własności publicznej w ten sposób, by nie rozszerzać biurokratycznego aparatu. Doświadczenie szeregu krajów, i to najdalej w kulturze posuniętych, wykazuje, że znakomite wyniki daje spółdzielczość pracy, zrzeszająca każdorazowo jednolity żywioł pracowniczy, który podejmuje się w charakterze przedsiębiorcy wykonania pewnych robót stale lub doraźnie. Spółdzielczość pracy u nas jest prawie nieznana, a przynajmniej rozpowszechniona bardzo mało, choć tendencja w kierunku tworzenia jej istnieje i u dołu i wśród czynników decydujących.

P. Wolski w sposób przejrzysty podaje zarys organizacji tego rodzaju. Wykład jego jest jasny, materiał dobrze opanowany pozwala ogarnąć dotychczasowe doświadczenia w skali europejskiej.

Prowadzą one do tego, by wyprzeć pośrednika, handlującego jedynie pracą najemną. Roboty podejmuje sama zbiorowość zorganizowana, pozostająca pod ciągłą kontrolą i wewnętrzną i zewnętrzną. Podnosi się tu nie tylko zarobki, ale poziom fachowy i moralny pracownika. To też kraje, które wyeliminowały spekulanta-przedsiębiorcę, zyskały znakomite wyniki, tak że zarówno w republikańskiej Francji jak w faszystowskich Włoszech spółdzielnie pracy zdobyły bardzo poważne przywileje, prawo stawania do przetargów bez kaucji, pierwszeństwo przy równych warunkach i t. d.

P. Wolski po wyłożeniu zasad organizacyjnych tego rodzaju przedsięwzięć poddaje rozwadze doniosłość społeczną tej organizacji i wskazuje na widoki jej przyszłego rozwoju.

Pożyteczna i doskonale napisana książka musiała wyjść w postaci trzech kolejnych numerów miesięcznika *Spółdzielczość Pracy* — ze względów materialnych. Nie wpłynie to ujemnie na jej rozpowszechnienie.

A. UZIEMBŁO

V A R I A

ZDZISŁAWA KLOBERÓWNA: *Humor Józefa Piłsudskiego w świetle jego pism.* Stryj 1935. Nakładem *Kwartalnika Nauczycielskiego* w Stryju.

ZDZISŁAWA KLOBERÓWNA: *Zofia Nałkowska.* Próba charakterystyki dzieł i autorki. Stryj 1937. Nakładem *Kwartalnika Nauczycielskiego* w Stryju.

Ze strachem biorę do ręki każdą publikację przygodnego autora o Marszałku Piłsudskim. Mój strach wcale nie jest bezpodstawny. Kto się już raz sparzył na 600-stronicowym tomisku Malickiego *Marszałek Piłsudski a Sejm*, ten przezornie dmucha nawet na 47-stronicową broszurę p. Kloberówny o humorze w pismach Marszałka. I czyni rozsądnie, że dmucha, znajduje w niej bowiem potwierdzenie słuszności swych instynktownych obaw.

Przebrnąwszy przez zarys charakterologiczny p. t. „Charakterystyka J. Piłsudskiego w ujęciu syntetycznym", później przez „Wstęp", w którym autorka analizuje pojęcia komizmu i humoru, docieramy wreszcie do obfitego plonu cytat. Autorka wybrała z pism Marszałka wszystkie fragmenty zawierające humor, sarkazm, ironię, komizm, rubaszność nawet, każdej cytacie przykleja etykietkę własnej definicji, np. „Komizm nicości moralnej Puszkina", „Komizm nicości patriotów", „Komizm stylu wodza rosyjskiego" (Tuhaczewskiego) i każdą cytatę tłumaczy „własnymi słowami", wyjaśnia, komentuje, interpretuje, słowem rozwadnia tekst Piłsudskiego.

Marszałek pisze: „Pan Tuhaczewski idzie inną drogą: kocha się w słowach, treści im nie dając".

Każdy przecież rozumie, co to znaczy, ale p. Kloberówna wtrąca się do pojedynku słownego obu wodzów i musi nam włożyć łopatą w głowę, że „...Tuhaczewski... igra ze słowami, operuje przenośniami, poetyzuje, nie dbając o obiektywne sprawozdanie faktów, jak przystało na wodza, którego stosunek myśli do zjawisk zaszłych nie powinien być przeciwny bezwzględnej prawdzie, chociażby to miało być z krzywdą dla osobistej ambicji. Tuhaczewski lubuje się w czczej frazeologii i nie dba o treść swoich powiedzeń".

To zakrawa na pojedynek Kloberówna-Tuhaczewski!

Dalej Marszałek mówiąc o kwiatach i darach, jakie otrzymywał, będąc Naczelnikiem Państwa, dodaje:

„Lecz zwyczaje polskie znają inne pociski, mniej pachnące, na które musi być przygotowany przyszły Prezydent Rzeczypospolitej".

P. Kloberówna śpieszy z poetyckim komentarzem:

„Przypływ morza pozostawia pianę na piaskach wybrzeża. Dziecko, bawiąc się opodal, chce sobie złapać garść tej piany i dziwi się, że w chwilę potem ma na ręku tylko kilka kropel wody jeszcze bardziej słonej i gorzkiej, niż woda fali, która tę pianę wyrzuciła".

Za dużo tej piany: 47 stronic.

Przechodzimy do studium p. Kloberówny o Nałkowskiej.

Znowu udzielam głosu p. Kloberównie:

„...Mówią, że istotą nowej sztuki jest połączenie idealizmu z chamstwem. Należy dodać, że jest to cechą sztuki męskiej. Czy jej istotą? Nie sądzę. Są przecież i wśród literatów panowie wytworni..." (str. 9—10).

„...Dosłownie zwierzeń autorki brać nie można (w powieści *Rówieśnice*). Pewne jest jednak, że jej ojciec był profesorem uniwersytetu" (str. 13).

„...Twórczość Nałkowskiej wykazuje psychiczny rozwój poetki według wzorów ludzi normalnych" (str. 22).

Odbieram Pani głos.

STANISŁAW CZOSNOWSKI

N O W E   K S I Ą Ż K I

BIBLIOLOGIA

Dr. JAN MUSZKOWSKI: *Życie książki.* Warszawa 1936. „Nasza Księgarnia"", Sp. Akc. Związku Nauczycielstwa Polskiego. Str. 348. Zł. 7.—.

Książka ta, oparta na przeszło dwudziestoletniej praktyce bibliotekarskiej autora oraz na studiach związanych z jego wykładami na Wolnej Wszechnicy Polskiej, powstała w formie ostatecznej jako cykl wykładów w Instytucie Pedagogicznym w Katowicach. Składa się z następujących rozdziałów: Droga rozwoju książki: pismo, materiał i forma zewnętrzna rękopisów; rękopis biblioteczny; początki i rozkwit drukarstwa; książka drukowana. — Wytwarzanie i obieg druków: rodzaje wydawnictw i ich klasyfikacja; autor i nakładca; handel księgarski; konsumcja książki; książka w bibliotece; służba informacyjna. — Książka a oświata: typy, środki i tereny działania oświatowego; książka w akcji oświatowej; badanie czytelnictwa. — Zamknięcie. — Każdy rozdział zaopatrzony jest w bardzo pożyteczne wskazówki bibliograficzne, wprowadzające w literaturę przedmiotu, zarówno polską jak obcą.

HISTORIA

JANUSZ WOLIŃSKI: *Polska i kościół prawosławny.* Zarys historyczny. Lwów 1936. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Str. 152. Zł. 3.—.

Autor w pracy tej przedstawia w zwięzłym zarysie dzieje kościoła prawosławnego w Polsce i jego stosunek do państwa od chwili jego powstania aż po czasy dzisiejsze. Pracę swą opiera na wynikach dotychczasowej literatury i na badaniach własnych. Rzecz składa się z następujących rozdziałów: I. Geneza metropolii polsko-litewskiej. II. Metropolia prawosławna w Koronie i W. Ks. Litewskim w XV i XVI stuleciu. III. Unia brzeska i upadek organizacji metropolitalnej. IV. Wznowienie metropolii. V. Metropolia prawosławna w Rzeczypospolitej w XVII i XVIII stuleciu. VI. W odrodzonej Rzeczypospolitej 1918—1930. Całość pracy uzupełnia indeks osób i miejscowości.

POEZJA

KAZIMIERA ALBERTI: *Usta Italii.* Warszawa 1936. Dom Książki Polskiej. Str. 100.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI: *W połowie drogi.* Chełm 1936. Biblioteka Kameny. Str. 40.

JAN KOPROWSKI: *Do mojej ziemi.* Tom I. Warszawa 1936. Skł. gł. D. K. P. Str. 32.

STANISŁAW SZWAJCER: *Na cmentarzu biły dzwony...* Śpiewy demoniczne. Warszawa 1937. F. Hoesick. Str. 40.

POWIEŚĆ

KAZIMIERZ TRUCHANOWSKI: *Ulica Wszystkich Świętych.* Powieść. Warszawa 1936. F. Hoesick. Str. 205.

Powieść ta będzie omówiona w dziale recenzyjnym.

PSYCHOLOGIA

BALEY STEFAN: *Osobowość twórcza Żeromskiego.* (Studium z zakresu psychologii twórczości). Warszawa 1936. „Nasza Księgarnia", Sp. Akc. Związku Nauczycielstwa Polskiego. Str. 228.

Książka ta jest powtórzeniem, w zmienionej nieco i skróconej formie, wykładów, które autor wygłosił na Uniwersytecie Warszawskim w roku akademickim 1929—1930. Składa się z następujących rozdziałów: I. „Perseweracyjność" jako cecha osobowości twórczej Żeromskiego. II. O powrotnych zdarzeniach, sytuacjach i „sobowtórach". III. „Synestczyjność" Żeromskiego. IV. Emocjonalizm Żeromskiego. V. Sfera nieświadoma w twórczości Żeromskiego. VI.Ostatnie wyniki. VII. Uwagi o lekturze dzieł Żeromskiego.

VARIA

STEFAN PAPÉE: *Drogi odrodzenia teatru.* Katowice 1936. Nakładem Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Katowicach. Str. 20.

KAZIMIERZ KIERSKI: *Ustrój stolicy według projektów rządowych.* Warszawa 1936. (Odbitka z Nr. 20 *Samorządu Miejskiego* z 1936 r.). Str. 35.

Odpowiedzi Redakcji

Pan R. P.-Ł. Z łaskawie nadesłanego nam cyklu wierszy p. t. *Preludia jesienne* nie skorzystamy.

Pan R. R.-S. w Warszawie. Z łaskawie nadesłanych nam pięciu wierszy nie skorzystamy.

Pan A. K. w Zakopanem. Z artykułu *Rzeczywistość chłopska* nie skorzystamy.

Pan E. M. w Pińsku. Z artykułu *Kilka słów o turystyce na Polesiu* nie skorzystamy.

Pan L. P. w Wyżniance. Wierszy Pańskich drukować nie będziemy.

Pan S. S. w Warszawie. Z artykułu *U źródeł „Dziejów grzechu"* nie skorzystamy.

Pan L. M. Wierszy *Ku słońcu prawdy, Skowronek* i *Wieża triangulacyjna* nie zamieścimy.

Pan A. K. we Lwowie. Z artykułu *Snobizm młodości* nie skorzystamy.

Pan A. R. w Krakowie. Wiersza *Liść* nie wydrukujemy.

Pani A. G. w Warszawie. Wierszy *Odejście* i *Powrotna fala* nie wydrukujemy.

Pani S. W. w Łodzi. Z artykułu *Książka o Hiszpanii* nie skorzystamy.

That. Z nadesłanej nam noweli nie skorzystamy.

Pan M. P. Z łaskawie nadesłanych nam przekładów z poety niemieckiego G. B. nie będziemy mogli skorzystać.

KRONIKA

POMOC ZIMOWA

To już nie jest sprawa serca. Wymowa cyfr, wymowa suchych danych statystycznych wyparła argumenty emocjonalne, przekreśliła słowa „współczucie" i „ofiarność", wprowadzając na ich miejsce nakaz, obowiązek moralny, wypływający z poczucia sprawiedliwości społecznej.

Nadchodząca zima zastanie w Rzeczypospolitej pół miliona bezrobotnych. 500.000 ludzi pozbawionych pracy to znaczy około 2.000.000 głodnych, to oznacza konieczność mobilizowania wszystkich aktywnych sił społecznych w walce z ostateczną nędzą, to wyraża się ogromną cyfrą dziesiątków milionów złotych, potrzebnych na chleb, węgiel i dach nad głową. I jeszcze jedno: miliony te nie tylko *muszą* się znaleźć, ale muszą się znaleźć *jak najprędzej*.

Ogólnopolski Obywatelski Komitet Pomocy Zimowej Bezrobotnym, opracowując normy dobrowolnych świadczeń społecznych na rzecz potrzebujących pomocy, jako naczelną zasadę podjętej akcji przyjął jej powszechność i progresywność. Chodzi tu o objęcie akcją zbiorkową całego społeczeństwa, o sprawiedliwy rozdział wymaganych świadczeń, o *dobrowolność*. O tę dobrowolność, która w najszerszych masach wywoła prawdziwie wielką ofiarność i poczucie pełnej solidarności z armią głodu i nędzy.

Z relacyj prasowych dobrze znane są normy świadczeń zarówno pieniężnych jak i w naturaliach, w zależności od wysokości dochodów, obrotu przemysłowego, podnajmowanych lokali i uprawianych kultur rolnych. Według najbardziej jednak optymistycznych obliczeń, przy idealnym funkcjonowaniu skomplikowanego aparatu zbiórkowego, uzyskane tą drogą fundusze i surowce (węgiel, nafta, mydło, tłuszcze, jarzyny, zboże) nie wystarczą na zaspokojenie najprymitywniejszych nawet potrzeb 500.000-ej rzeszy bezrobotnych. Dlatego właśnie obok powszechnej, dobrowolnej akcji zbiórkowej powstać musi równolegle dobrowolna i powszechna ofiarność publiczna. Ofiarność szczera i żywiołowa, ofiarność ponad obowiązujące normy, ponad stan posiadania. I tutaj właśnie zaczyna się teren działalności propagandowej, który skupić winien wszystkich pracowników kultury, w najszerszym słowa tego znaczeniu. Inicjatywa zawodowych związków literatów i dziennikarzy jest przykładem, który oddziałać winien na inne podobne stowarzyszenia i poszczególne jednostki. Literatura, prasa, teatr, radio, film, grafika użytkowa — oto najkapitalniejsze odcinki działalności propagandowej, przy których uwzględnieniu osiągnąć można bardzo poważne rezultaty. Wszelka ofiarność publiczna pojmowana masowo, z natury rzeczy anonimowa i niewymierna, napotyka w swej akcji na równą anonimowość i niewymierność osiągniętych wyników. Stąd właśnie powstaje konieczność jak najusilniejszej pracy propagandowej, uwidoczniającej obok narastania potrzeb także i moment ich częściowego zaspokajania. Felieton, reportaż, krótkometrażówka filmowa, barwny plastyczny afisz mogą tu zrobić znacznie więcej od najbardziej słusznych i popartych konkretnymi danymi odezw, odczytów i proklamacyj. Z drugiej zaś strony obserwowanie uzyskanych w pewnej akcji wyników podświadomie dopinguje akcji tej uczestników do podjęcia jeszcze większych wysiłków, zapewniających rezultaty odpowiednio większe i donioślejsze. Ten wzgląd psychologiczny w organizacji akcji pomocy zimowej także należy mieć na uwadze.

I jeszcze jedno. Podobnie jak akcja zbiórkowa na Fundusz Obrony Narodowej, zimowa pomoc bezrobotnym ogarnąć musi bez wyjątku wszystkich. Pomnażanie potęgi zbrojnej państwa, które znalazło zrozumienie we wszystkich warstwach społecznych i orientacjach politycznych dzisiejszej Polski, było dowodem głębokiego *zmysłu politycznego* całego społeczeństwa. Pomoc zimowa, zbliżająca ku państwu setki tysięcy jego pariasów, jest nie tylko przejawem myśli politycznej, ale i *wielkiej zwartości społecznej* całego narodu. Dlatego właśnie powszechność w akcji pomocy zimowej stać się musi powszechnością istotną, prawdziwą. Dlatego właśnie wyniki tej pomocy są jednocześnie egzaminem narodowym, który wypaść musi w opinii Polski i zagranicy jak najlepiej, jak najbardziej imponująco.

ALEKSANDER CZYŻEWSKI

PION NALEŻY ABONOWAĆ LUB NABYWAĆ W KIOSKACH LUB ŻĄDAĆ GO W CZYTELNIACH, CUKIERNIACH I RESTAURACJACH.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5, tel. 304.09; czynne codziennie od godz. 9 do 15 (sprawy kasowe załatwia się w środy i soboty od godz. 10 do 12). REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 18 do 19. PRENUMERATA w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., ½-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty—60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P.K.O. Nr. 18.590.

Redaktor: LEON PIWIŃSKI

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.